



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



POREBA „WYLISIE“ (GALICJA WSCHODNIA).

fol. St. Sokolowski.



## WIANO I POSAG. <sup>9)</sup> (dok.).

Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa rzecz poczęła się zmieniać, ale zmieniała się bardzo powoli. Początkowo zaślubiny odbywały się dalej po domach prywatnych i dalej dokonywane były przez starostów w sposób o tyle zmieniony, o ile nowa wiara zdołała oświecić umysły nowonawróconych. Śladem takich zmian, częściowo wprowadzonych, było zapewne wprowadzenie *sagu* (posagu) na stolce weselne po usunięciu ofiar z owiec i skór, któremi stolce te okrywano. Zdołano wreszcie przeprowadzić obyczaj odbywania zaślubin w kościele i dokonywania ich przez księży.

Jak proces ten odbył się u nas, nie zdarzyło się nam czytać szczegółowego studium; może nawet nie zadaliśmy sobie jeszcze trudu, żeby rzecz tę zbadać źródłowo i wszechstronnie. Lepiej daleko jesteśmy poinformowani, jak sprawa ta odbyła się u Niemców, z czego pewne wnioski i co do naszych stosunków wprowadzić możemy.

Nakaz Karola W. z r. 802, żeby zaślubiny odbywały się w kościołach, nie wiele skutkowało. Od wieku X sam kościół coraz usilniej upomina się o to, ale upomina się jeszcze r. 1420, z czego się okazuje, że jeszcze wtedy trafiały się zaślubiny domowe<sup>1)</sup>. U nas musiało być podobnie, a zawsze niezawodnie działo się i u nas także to, co w Niemczech, że zaślubiny swoje dawne odbywano w domu, a po drugie udawano się do kościoła: tamto był ślub jakoby rytualny, ten zaś w kościele oficjalny, jakoby cywilny. Zaślubiny na chlebie odbywają się u nas jeszcze dzisiaj w bardzo wielu okolicach, tylko że to już forma bez żadnego ducha i że się to nazywa tu i owdzie zaręczynami, gdyż odbywa się na zaręczynach; gdzie indziej zaś odbywa się to tuż przed wyjazdem do ślubu i albo żadnej niema nazwy albo też zowie się *związanimi*<sup>2)</sup>, *zrękwiniami*<sup>3)</sup>, całkiem widocznie od związywania rąk nowożeńcom na chlebie, tudzież *ślubinami*<sup>4)</sup>, gdyż to był istotnie dawny ślub.

Z przeniesieniem ślubów do kościoła łączy się niezawodnie powolny zanik urządzania po-

sagów i dawnych zaślubin po domach weselnych. Boć odtąd to, co się działo w kościele, stawało się, jako rzecz religijnie i prawnie ważna, coraz więcej rzeczą główną, to zaś, co się czyniło w domu, jako rzecz nie mająca już żadnej doniosłości tak religijnej jak i prawnej, coraz bardziej tylko rzeczą zwyczajową i formalną, w końcu tedy czczą i zbyteczną.

### Uzupełnienia.

1. Zaznaczyliśmy już wyżej, że *wieniec* i *wiano* to zdrobnienia od nieużywanego już dzisiaj wyrazu niezdrobniałego \**wian*, po łacinie *corona, sertum*, podobnie jak *żrebiec* i *żróbek* lub *cielec* i *ciółek* są zdrobnieniami od nieużywanego już dzisiaj wyrazów \**zrebi* i \**ciól*. Ponieważ *wieniec* znaczy to samo, co *wianek*, więc zamiast wyrażenia: zapłata „za wieniec“ można było użyć wyrażenia: zapłata „za wianek“ w tem samym znaczeniu; a ponieważ zapłata ta to inaczej *wienicowe* czyli po dawnemu *wiano*, więc też pierwotnie w prawie polskim niema różnicy między zapłatą „za wieniec“ lub zapłatą „za wianek“, zwaną po łacinie *sertum* „*wieniec, wianek*“, a *wianem*<sup>1)</sup>. Stąd także poszło postanowienie, znane np. ze statutu zakroczymskiego z r. 1404, że wdowie przyznawano zapłatę za wieniec czyli wianek tylko w takim razie, jeżeli nie miała zapisanego przez męża *wiana*, a ponieważ *wiano*, wyposażenie żony przez męża, było zwyczajnie tylko zabezpieczeniem żonie na dobrach męża *posagu*, który mężowi wносиła, urosło stąd postanowienie, które zacytowaliśmy już wyżej z Czackiego, że „wdowa, nie mająca *posagu*, równą część ma z dziećmi (jako matka!), a *wienica* *opłacanego* już niema t. j. nie wyznacza się jej osobnej, osobistej własności z majątności męzowskiej.

Zapłatę za wieniec czyli wianek zowią po łacinie nietylko *sertum* „*wieniec, wianek*“, ale także *virginitas* „*dziewictwo*“, w czem nic dziwnego, gdyż oddać komuś *wieniec, wianek*, po dawnemu \**wian*, oznaczało to samo, co dzisiejsze „wyjść za kogoś“, a więc odnośnie do

<sup>1)</sup> Weinhold K. l. c., I, 377—382.

<sup>2)</sup> Federowski M. l. c., I, 63.

<sup>3)</sup> Kolberg O. Krakowskie II, 28.

<sup>4)</sup> Kolberg O. Poznańskie I, 253, III, 191.

<sup>1)</sup> Dr. Dąbkowski P. Prawo prywatne polskie, I, 401—402.



panny to samo, co oddać komuś dziewiczość, do której w sprawach małżeńskich od wieków przywiązywano u słowian wielką wagę i którą też przez tak zwane pokładziny, po *matrimonium consumatum*, ściśle sprawdzano, jak tego dowodem po dziś dzień nasze i ruskie ceremoniały weselne. Nie darmo też wchodząca w dom młoda mężatka, a potem wogóle kobieta, zowie się w naszym języku od wieków niewiasta t. j. *inscia* „nieznająca“ (sc. męża).

Zapłatę za wieniec czyli za wianek zowią w naszej łacinie średniowiecznej takie *crinale* lub *crinile*, co dosłownie znaczy „włosowe“, czyli zapłatę „za kosę“, za warkocz, w czym również nic dziwnego, gdyż, jak pouczają nasze i ruskie ceremoniały weselne, ucinano od wieków i ucina się dzisiaj jeszcze przy tak zwanych oczepinach warkocz pannie młodej i wkłada czepiek na znak, że młoda ze stanu panieństwa przechodzi do stanu mężatek: więc zapłacić za wieniec czyli wianek lub za dziewictwo znaczyło to samo, co zapłacić „za kosę“ czyli „włosowe“. Ponieważ zaś wiano, jak już wiemy, znaczy tyle, co „wieńcowe“, a więc to samo, co zapłaciła „za wieniec“ lub za „wianek“, a więc i to samo, co zapłaciła „za kosę“, więc rzecz całkiem naturalna, że i wiano zowie się po łacinie w naszym prawodawstwie średniowiecznym także *crinale*, *crinile*, jak o tem świadczy np. Kodeks wielkopolski pod r. 1399 i inne nasze zabytki prawne<sup>1)</sup>.

W obrzędach weselnych naszych i ruskich występuje zwyczajnie osobno zapłata „za wieniec“, a osobno zapłata „za kosę“, dawana także (ta ostatnia) u nas jako wykupno młodej po oczepieniu lub w formie „na czepiec“ i t. p. Wnosić stąd należy, że w najdawniejszych cza-

sach były to dwie osobne opłaty, które ponosił młody: pierwsza to wiano czyli wieńcowe, opłata „za wieniec“ czyli „za wianek“, opłata za młodą rodowi, z którego wychodziła; druga to opłata „za kosę“, opłata, składana rodowi, do którego młoda wchodziła; a zwała się opłatą „za kosę“, gdyż ucięcie warkocza młodej („postrzyżyny“) stanowiło symboliczny obrzęd przyjęcia do rodu. Pierwotnie każda z tych opłat stanowiła własność dotyczącego rodu, z czasem zaś, jak już wiemy, wiano czyli wieńcowe zwracano młodemu, który pozornie tylko składał je swemu rodowi, gdyż ród jego oddawał mu to również, a on zabezpieczał to żonie na swej osobistej majątności. Tak wiano jak i opłata „za kosę“ stały się więc z czasem rzeczą tą samą, t. j. zabezpieczeniem i wyposażeniem żony ze strony męża.

2. O ziele, gałązce, różczce, lasce, dziędzie i t. p. jako symbolach, używanych w Niemczech przy przechodzeniu własności z rąk jednych do drugich, tudzież o ucinaniu włosów na znak przyjęcia kogoś obcego do pewnego rodu u dawnych Niemców wiele ciekawych szczegółów znaleźć można w starym ale zawsze cennym dziele Jakóba Grimma *Deutsche Rechtsalterthümer* (Göttingen. 1828), I; 109—207. Nasza różga weselna, jak i to ucinanie włosów pannie młodej w naszym ceremoniale weselnym, niczem też innym nie jest, jak symbolem w tem znaczeniu, jakiegoś mu nadali.

Kwestyę wiana i posagu w dawnym naszym prawie ze stanowiska prawniczego najlepiej w ostatnich czasach przedstawił dr. Przemysław Dąbkowski w swym bardzo cennym, a przez nas już wyżej zacytowanym dziele, którego wyniki w tej kwestyi, choć z innego stanowiska traktowane, do tego samego wiodą na rzecz zapatrywania.

S. Matusiak.

<sup>1)</sup> Zob. Dąbkowski, l. c., I, 402—412.





## ZBIORY POLSKIE.

4)

### Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem.

Przymiot ten, który tak nas wyróżnia z pośród innych słowian, a zbliża do francuzów, w życiu znaczenie ma niemałe i doniosłość wielką, — w najcięższych bowiem nawet warunkach polak się o kęs chleba długo nie troszczy — daje sobie radę. Niezliczone tego rysu przykłady spotkać można choćby i na wielu kartach dziejów literatury naszej, sztuki i nauki <sup>1)</sup>. O przykładach z doby obecnej wspominać nie będę, bez trudu bystry obserwator niemało ich znajdzie <sup>2)</sup>.

Wracając do dziejów gromadzenia w Polsce między r. 1831 a 63 grafiki, przerzucimy się chyba z gościnnej Francji do prastarej wielkopolskiej dzielnicy, gdzie w tym czasie powstają trzy poważniejsze zbiory, mianowicie: Tytusa hr. Działyńskiego w Kurniku, Izabeli z Czartoryskich hr. Janowej Działyńskiej w Go-

luchowie (w nim bogato reprezentowani: Falk, Chodowiecki, Norblin etc., lubo większość obcych), oraz zasobna kolekcja rycin i map tak polskich jak i cudzoziemskich Edwarda hr. Raczyńskiego wraz z galerią obrazów.

Przegląd Małopolski naturalnie od stołecznego Krakowa rozpoczynam, w którym na szczególne zaznaczenie zasługują powstałe w tym okresie następujące zbiory. Obywatela Rzeczypospolitej krakowskiej — Konstantego Maczewicza (nabył on część znaczną poloniki ze zbioru Kwiatkowskiego). Ozdobą zbioru tego, liczącego kilka tysięcy sztychów, był dział zawierający portrety. W tym również czasie znany już był zbiór graficzny księgarza krakowskiego Friedleina, z biegiem lat znacznie przez syna jego powiększony. W kolekcji tej dwa przedewszystkiem działy zasługiwały na szczególne wyróżnienie, mianowicie liczne rysunki z widokami Krakowa i jego pomników, nabyte po zgonie art.-mal. Sontaga, oraz najbogatsza w kraju portretów królów polskich, którą przed rokiem p. Dominik Wittke-Jeżewski nabył i wcielił do swego zbioru. Następnie Franciszek Gąsiorowski posiadał tu z wielkim zachodem zgromadzony zbiór strojów staropolskich, tudzież obrazków, przedstawiających patronów polskich, jak niemniej reprodukcje obrazów, które w Polsce przez ciąg długich wieków z cudów swych słynęły. Poza tymi godne są jeszcze wspomnienia zbiory graficzne słynnego ze swej uniwersalności członka Tow. Naukowego, Teofila Żebrowskiego, Aleksandra Fusieckiego, księgarza, i Konopków w Mogilanach pod Krakowem. Wszyscy trzej gromadzili ryciny i rysunki tylko polskie; zbiór pierwszego, zawierający sporo map, liczył około r. 1840 3 tys. rycin, drugiego zaś 5 tys. włącznie z rysunkami.

Małopolska trzymała zawsze prym w gromadzeniu utworów rylca, na Podolu, zwłaszcza galicyjskiem, we Lwowie, jak dziś tak i w owej dobie spotykamy największych miłośników grafiki, a zarazem założycieli znakomitych kolekcji. W okresie tym (1831—63) jeden z najbogatszych zbiorów, mianowicie Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce po zgonie jego został przewieziony do Lwowa (z górą 20 tys. rycin, map pol. 720 etc.); kolekcja poturzycka Józefa hr. Dzieduszyckiego, zawierająca 2568 rzadkich

<sup>1)</sup> Np. nie sięgając głębiej, weźmy tylko naszych wiarusów-legionistów, co to nim wiatr po bitwie rozwiął dym, już rysowali, już pisali na bębnach wiersze, artykuły, bosci, obdarci, obóz w warsztat przedzierzgał lub... w redakcyę „Dekady“; albo znów tych, co pod Napoleonem kopytami swych rumaków stratowawszy niemal całą Europę, gdy szablę wypadło zawiesić na kolku, potrafilili tak chlubnie w różnych kierunkach pracować dla kraju. Pomijając wojaków z r. 1831, o których już była mowa, warto jeszcze zadać sobie trud, aby znaleźć całe jeszcze koło dyletantów z T. T. Jeżem, którzy poradzili w Turcyi, po roku 48, wznosić twierdze, koleje, telegrafy przeprowadzać, jak niemniej i tych z r. 63, od brewiarza, pluga, pióra licznych nieszczęśliwców, co wśród tajg syberyjskich zaspanych śniegiem, szyli obuwie, uczyli muzyki, języków, ...przyrządzenia wędlin, malowali, reparowali zegarki, etc., mimo, że ich zewsząd srogi chłód trapił, dręczyła tęsknota.

<sup>2)</sup> Wiemy, że w Czechach, tak wysoko kulturalnie stojących, są rzemieślnicy, bardzo zdolni muzycy i śpiewacy, wątpię jednak, czy nad Weltawą lub w innej jakiej słowiańskiej krainie, znalazłby się ubogi, w suterynie mieszkający stolarz-bibliofil, zapalony zbieracz i czytelnik najrzadszych z w. XVI druków polskich, lub, dajmy na to, drugi z kolei typ warszawski... szklarz-miłośnik sztuki, zbieracz grafiki rodzimej, mocny przytem w bibliografii polskiej i to do tego stopnia, że Giejsztorowi przy katalogowaniu i nabywaniu bibliotek oddawać mógł liczne i całkiem bezinteresowne usługi.



sztychów polskich, podobnież do stolicy nadpółwniańskiej przewieziona (w r. 1857), oddana została razem z poprzednią do publicznego użytku. Pomijając Ossolineum, w którym zbiór grafiki dzięki ofiarom z każdym rokiem wzrasta, we Lwowie również o tym czasie, w dawnym arsenale Sieniawskich powstaje poważny zbiór Wiktora hr. Baworowskiego. Podobnież w murach tego grodu z zamiłowaniem zbiera ryciny mecenas August Wysocki, a przed nim i z nierównie większem znawstwem, gromadzi zbiór rycin znany bibliofil, Aleksander Batowski (zbiór jego w następstwie wcielony został do kolekcji Wiktora Baworowskiego). Obok powyższych w pierwszej połowie wieku przeszłego zbierała w Galicyi sztychy generałowa Kicka, a wraz z nią ks. Henryk Lubomirski w Przeworsku. Obydwa zbiory w zestawieniu z innymi były dość szczupłe, ale zawierały sporo rycin pierwszorzędną rzadkości.

Jednocześnie na Rusi w tej dobie powstał cenny zbiór graficzny zamiłowanego znawcy sztuki ojczystej, J. I. Kraszewskiego, a wraz z nim gromadził utwory ryłca polskiego Konstanty Świdziński, który w tekach swych miał niepospolicie rzadkie ryciny, jak np. ów sławny orzeł Tretera z medalionami królów polskich na piersiach i skrzydłach. Razem z nimi miał zbierać również sztychy hr. Mniszech w Wiśniowcu, posiadacz największej w kraju galerii portretów olejnych (przeważnie nabywanych na Litwie i Rusi) liczącej 1,500 numerów. Szkoda się niepowetowana stała, że przed rozproszaniem tej galerii, nikt nie pomyślał o utrwaleniu ciekawszych portretów, które w skład jej wchodziły.

Pesymistyczna, wieczną melancholią owiana Litwa, najdłużej z pośród innych prowincji opłakiwała straty, peniesione wskutek wojny w r. 1831. Wprawdzie było po czem rozpaczać i po czem zawodzić, bo olbrzymia biblioteka uniwersytecka wraz z nieodłącznymi zbiorami oparła się aż gdzieś o Kijów, Chersoń, Dorpat, a podobnemu również losowi uległy liczne księgozbiory klasztorne, szkolne i dworskie, jak niemniej magnackie galerye obrazów i zbiory, że pomijając inne wspomnę tylko ową sapieżyńską w Dereczynie, o której na Litwie mawiano że: „co obraz to awuls<sup>1)</sup>), co drugi — folwark, a co trzeci, to z pewnością całe dobra, z lasami, zwierzem i grzybami...“<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Chutor, folwarczek.

<sup>2)</sup> Dereczyn, rezydencja słynnego z przygód Franciszka ks. Sapiehy, po konfiskacie oddany zo-

Po tych stratach nad Niemnem, jak się rzekło, opuszczono ręce i, nie pomnąc na to, co imć pan Mikołaj Rej o frasobliwości głosi, biadano wciąż i zawodzono, raczej po babsku niż męzku. Dopiero po latach z okładem dziesięciu w Wilnie, jednocześnie z powtórny rozkwitem literatury i nauk, zaczyna się ruch i na polu sztuki.

Niepożyte zasługi na Litwie około grafiki położył wydawca pomnikowego „Albumu Wileńskiego“ — J. K. Wilczyński. Zapalony znawca, zbieracz, mecenas, jednoczył w osobie swej działalność Rastawieckiego, a wraz z nim i serdecznego opiekuna młodych talentów, współcześnie z nim żyjącego Tomasza Zielińskiego w Kielcach. Rzadkiej uczynności Róży z Branicz hr. Tyszkiewiczowej zawdzięczam sporo własnoręcznych listów zasłużonego wydawcy „Albumu“; — w nich jak w krynicy odbija się dusza zacnego człowieka i jego nazbyt niestety mało, jak dotąd, uznana działalność. Wszystkich na prawo i na lewo wciąż w słowach gorących zachęca do gromadzenia utworów pędzla, ryłca oraz dłota: „...pokażmy, u licha, mazurom — pisze w jednym — że i u nas są talenta i kwitnie miłość sztuki!“ „Na miłość Boga! — strzeliście znów odzywa się w drugim (pisząc do magnata) — dołoż starań usilnych, abyśmy jak najprędzej mogli do akademii wysłać in-spe mistrza i chwałę narodową, a obecnie sierotę opuszczonego, o którym serce zacne pamiętać powinno“. Czynny i ruchliwy nad wyraz corocznie objeżdża Litwę i Ruś całą, utrwała ołówkiem liczne pamiątki, do malowania uroczych podwileńskich widoków sprowadza Breslauera i Zametá, a jednocześnie werbuje zamożnych amatorów do nabywania szkiców i rysunków „wielkich zdolności młodzieńca, który po powrocie z zagranicy będzie jednym z największych mistrzów pędzla, ozdobą sztuki naszej“. Odezwy podobne, często popierane na kartach ówczesnych czasopism przez takiego miłośnika grafiki, jakim był Kraszewski, odnoszą swój skutek, ryciny bowiem i rysunki artystów polskich z upodobaniem zaczynają gromadzić na Litwie niektórzy arystokraci i zamożni ziemianie jak: Eustachy, Konstanty i Jan Tyszkiewiczowie, jak hr. Kossakowski, Pusłowski, Antoni Zaleski, Rafał Ślizień, a obok nich poeci nawet i niektórzy pisarze, że tylko

stał w 30-letnią dzierżawę M. Murawiewowi; jednocześnie zbiory sztuki wywieziono do Petersburga, a dach miedziany z pałacu i niektóre posągi bronzowe żydom na wagę sprzedano.



nadmienię o dwóch zbiorcach skromnych, ale zasobnych w dobre rzeczy, jak Ludw. Kondratowicza i druha jego Wincentego Korotyńskiego, z których pierwszy wnet po zgonie „sło-

wika nadniemeńskiego“ poszedł w rozsypkę, a drugi, ofiarowany Kraszewskiemu, znakomicie powiększył cenny zwłaszcza dział jego rysunków i akwarel.

c. D. N.

*M. Federowski.*



## Z badań fizyograficznych nad Pilicą.<sup>3)</sup>

We wsi Komornikach Cieblońskich, położonej nad samą Pilicą na piaszczystym jej brzegu, było ogromne cmentarzysko przedhistoryczne.

Zakopane w ziemi popielnice często odkrywał wiatr, zsypując lotny piasek z jednego miejsce na drugie, kiedy indziej wykopywali je włościanie, wznosząc chaty lub kopiąc doły na kartofle, wyorywano je w polu; jednym słowem była tu wielka obfitość przedmiotów kultury pierwotnej. Być może, że ciągnęło się to cmentarzysko od Podoby, wsi odległej prawie o kilometr od Cieblońskich Komorników, bo i tam w lasku znajdowano naczynia z palonemi kośćmi. Bliższych informacji w Podobiu zasięgnąć nie mogłem i poszukiwań nie robiłem, bo chłopci przypuszczają, że zakopane tam są skarby i choć sami ich nie szukają, ale przez wrozoną chciwość nie chcą poinformować, gdzie takie skarby są zakopane. W Komornikach chłopci wskazywali nam miejsca, w których znajdowano popielnice, ale pomimo obiecanej nagrody niechętnie pomagali nam szukać, a właściwie wcale nie pomagali. Spelzły więc na niczem poszukiwania we wsi i na pastwisku, na polu zaś nie można było szukać w lipcu. Być może, że na polu możnaby jeszcze coś wykopać, ale na pastwisku i we wsi wykopaliska pewno już zostały wyczerpane, bo od kilku lat wiadomość o nich szeroko rozeszła się po okolicy a różni amatorzy zniszczyli doszczętnie to ciekawe cmentarzysko. Wykopane przedmioty zabierali uczniowie z Tomaszowa, zabierał ksiądz, majster fabryczny... no, krótko mówiąc, osoby nie mające pojęcia o znaczeniu zabytków archeologicznych. Miłośnikom zbierania zdaje się, że zbieractwo jest samo przez się celem, wtedy gdy w istocie rzeczy zbiory archeologiczne

czy inne są albo zbiorem surowego materiału naukowego, albo po ich opracowaniu archiwum naukowym. W dodatku w archeologii, antropologii, geologii, a pewno i innych naukach, sam przedmiot w oderwaniu od otoczenia, w jakim go znaleziono, nie ma często żadnej wartości. To też przy tej sposobności powiem to, co już niejednokrotnie głoszone w pismach naukowych, że usługi amatorów-zbieraczy nie komunikujących się z zawodowcami są niedźwiedziami usługami. O ile mogłem zorientować się w opowiadaniach ludzi miejscowych, znajdowano tam wielką liczbę naczyń z przykrywkami i kośćmi palonemi (te ostatnie sam widziałem na piasku), wykopano niegdyś wielkie naczynie gliniane, wewnątrz którego stały dwa mniejsze, znajdowano wiele fibul, grotów i zausznic. W pobliżu cmentarzyska znaleziono płytko pod ziemią kolisto ułożone kamienie, prawdopodobnie palenisko, na którym ogień niszczył trupy, przeznaczone do pochowania na pobliskim cmentarzu. Opowiadano mi również o znajdowaniu „korków kamiennych“, t. j. wązkich walcowatych kamyków; nie widziałem ich, więc nie mogę twierdzić, czem one są, ale opierając się na wykrytej przez d-ra L. Krzywickiego technice wiercenia otworów w toporach krzemienych, przypuszczam, że są to takie wewnętrzne części wywierconych otworów. Pewien włościanin pokazywał mi grot znaleziony w opisywanym cmentarzysku; był to grot brązowy, a inne narzędzia, według jego opowiadań, miały być takie same. Nie próbowałem jednak prosić o ten grot, bo chłop słuchał z niedowierzaniem, myśląc, że ma złoto, i pewno spodziewał się, że go chce „ocyganić“; wszak kiedy opowiadał księdzu o swych wykopaliskach, ten poinformował go, że znalazł rzeczy niezmiernie



cenne. Przy tej sposobności chciałbym zwrócić uwagę, że takie poszanowanie dla zabytków przeszłości lub okazów przyrodniczych wzbudzą w chłopie nawet rozsądni wycieczkowicze. Naprzykład gdy chłop opowiada o zniszczonej przez siebie popielnicy lub o znalezionej skamieniałej rybie, powiada mu się, że takich rzeczy niszczyć nie należy, bo posiadają wartość; zmaterializowany do szpiku kości chłop nie ma pojęcia o żadnej wartości oprócz pieniężnej, tłumaczenie mu innych wartości będzie uważał za „cyganienie” i brązowy grót ceni na wagę złota. Biorąc pod uwagę wszystko to, o czym dowiedziałem się na miejscu, śmiało można powiedzieć, że pod Cieblowicami na Pilicy było ogromne cmentarzysko ludzkie z epoki brązowej i że palenie trupów odbywało się nieopodal<sup>1)</sup>.

Tak tedy dotarłem do Cieblowic o parę lat za późno, choć może w polu jeszcze coś leży, bo tam poszukiwania zawsze były utrudnione. Na powrotnej drodze mam do zanotowania Białobrzegi, gdzie wznosi się jedna z nielicznych naszych budowli modrzewiowych — niewielki kościółek, z zewnątrz dla podtrzymania pokryty deskami.

Inna serya wycieczek miała na celu poznanie dwóch nienotowanych dotychczas w literaturze i nie oznaczonych na mapach dopływów Pilicy. W zakątku tym udało mi się zaobserwować pewne zjawiska krasowe, ale całkowicie pomijam tu hydrografię, bo odnośnie spostrzeżenia ogłoszę drukiem na innym miejscu w postaci sprawozdania ściśle naukowego.

Skończywszy opowiadanie o okolicy, przejdę teraz do Smardzewic. Duża, licząca około 900 mieszkańców wieś ciągnie się prostopadle do rzeki, rozłożywszy się częściowo w jej dolinie, w większej części zaś na brzegu doliny. Na wschodnim krańcu druga mniejsza połowa wsi ciągnie się prostopadle do niej z północy na południe. W wieku XVI Smardzewice należały do parafii w Nagórzycach, ale kmiecie

składali dziesięcinę w Łęczycy, a pleban dostawał po korcu żyta z łąnu, od młynarza zaś korzec mąki. W początku XVII wieku włościanie wystawili kaplicę, a biskup kujawski Paweł Wołucki wznosił drewniany kościół i osadził w nim franciszkanów (1631 r.). Z pałacu biskupiego nie pozostało już nawet śladów, klasztor murowany przetrwał do czasów dzisiejszych, ale z wyjątkiem kościoła stan jego pozostawia wiele do życzenia. Starożytna wieś nie posiada zupełnie starych pamiątek architektonicznych, jedyną pamiątką we wsi jest pomnik, wzniesiony przed 30 laty przez księdza Woźniakowskiego, ówczesnego proboszcza Smardzewic.

Pomimo blizkiego sąsiedztwa z przemysłowym Tomaszowem, odległym tylko o 8 wiorst od Smardzewic, ten ostatni nie wywarł dotychczas jeszcze zwykłego w takich wypadkach wpływu kosmopolityzującego ludności. Chłop smardzewicki zachował się dotychczas w stanie takim, jaki był przed laty, czy to pod względem odzieży, czy zwyczajów. Na zachowanie jego odrębności etnicznej wpływa prawdopodobnie uwarunkowana urodzajnością gleby względna zamożność, dzie-

ki której chłop nie potrzebuje wynajmować się w pobliskim Tomaszowie jako siła robocza (z małymi wyjątkami). Następnie należy wziąć pod uwagę, że Tomaszów rozrósł się dopiero w końcu ubiegłego wieku, więc nie zdążył wprost wywrzeć wpływu zwyrodniającego, jaki wywierają miasta na fizyczną i psychiczną organizację mieszkańców okolicznych.

Stroje ludowe noszone są dosyć pospolicie, tylko pokolenie dorastające zdradza tendencje do odzieży miejskiej. Włościanie noszą jasno-siwe długie sukmany, z kołnierzem i kantami oblamowanymi czerwoną taśmą, czerwony szeroki pas zawiązany na biodrach dopełnia garderoby świątecznej. W lecie noszą czarne kurtki, czarne spodnie i czapkę kroju miejskiego, zwaną przez nich „kaśkietem”. Kobiety ubierają się barwnie: spódnica i zapaska z różnokolorowymi pasami podłużnymi, kolorowa chustka na głowie, korale na szyi i ładny, często-kroć haftowany gorset. Dawniej zamożne kobiety nosiły sukmany w rodzaju tużurka, z li-



WŁOŚCIANIN  
ZE SMARDZEWIC.

fol. St. Leneewicz.

<sup>1)</sup> Naukowy opis tego cmentarzyska zamieściłem w „Światowidzie” t. IX, r. 1912.



TYPY WŁOSCIANSKIE ZE SMARDZEWIC.

fol. St. Lenczewicz.

cznemi fałdami z tyłu i błyszczącymi guzikami, ale strój ten tak dalece wyszedł z użycia, że tylko jedna bardzo stara gospodyni posiada go jeszcze, przechowując go z pietyzmem.

Pragnąc przyczynić się do poznania właściwości rasowych naszego narodu, rozpocząłem w Smardzewicach studia antropologiczne. Miejsce to leży w środku olbrzymiej polaci kraju nietkniętej dotychczas cyrklem i miarą antropologa.

Badań odnośnych nie prowadzono dotychczas w całej południowo-zachodniej części kraju (gub. piotrkowska, kaliska, kielecka i radomska z wyjątkiem Sandomierskiego). Pomiar i obserwacje mogły być dokonywane tylko w święta i niedzielę, bo jak wiadomo, w powszedni dzień chłop pracuje od świtu do zmroku, a odrywać go od pracy nie można. Wogóle przy badaniach antropologicznych ludności wiejskiej ma się do czynienia z całym szeregiem okoliczności utrudniających, a niekiedy wprost uniemożliwiających pracę. Oto długoletnia niewola uczyniła chłopą podejrzliwym i nieufnym, w wielu miejscowościach włościanie uważają antropologów za agentów rządowych, dokonywujących pomiarów w celach poboru lub

nałożenia nowych podatków. Drugą okolicznością utrudniającą pracę jest pewna wstydlivość, której nie można kłaść na karb niezrozumienia przez włościan potrzeby badań antropologicznych. Nie wątpię ani na chwilę, że czytelnicy „Ziemi” potrzebę badań naukowych rozumieją, ale przekonany jestem, że większość osób nie zgodziłaby się poddać oględzinom i pomiarom. Bo czy każdy pozwoliłby sobie wymierzać długość i szerokość nosa, czy nie żenowałyby się panie, gdyby ktoś pilnie przyglądał się ich oczom, a czy która pozwoliłaby zburzyć turban, ażeby zmierzyć długość i obwód głowy? Wątpię, a przecież potrzebę tego rodzaju badań doskonale rozumiemy. To też jeżeli udało mi się zbadać 103 mężczyzn i 53 kobiety, to jedynie dzięki pomocy p. Dziubałtowskiego, posiadającego bezgraniczne zaufanie ludności tamtejszej. Wprawdzie ten i ów niechętnie poddawał się pomiarom, wprawdzie niekiedy mówiono: „jakże to, żeby ja warkocz rozpuściła” ale były to wyjątki nieliczne, to też przy sposobności składam na tym miejscu podziękowanie ludności Smardzewic za pozwolenie użytkowania swych osób, jako materiału naukowego.

Obserwacje robiło się w ten sposób, że szliśmy tam, gdzie było wiele ludzi, np. pod kościół po nabożeństwie, w najbliższej chacie pożyczaliśmy stołka lub ławy i mierzyło się. Tłum ciekawych przyglądał się, żartował, sypał dowcipami, a co raz to ktoś zdecydował się być zmierzonym, jeden dla tego, ażeby wiedzieć, czy jest wyższy od sąsiada, inny chciał się dowiedzieć, czy ma długie ręce, jeszcze inny spodziewał się z pomiarów fotografii i t. d.

Do pomiarów dobieierałem głównie osobniki głównie w sile wieku, rdzenną ludność miejscową pracującą na roli, tylko 15 osób poza rolnictwem zajmuje się rzemiosłem lub wyrobkiem w mieście.

Nie będę szczegółowo opisywał wyników tych badań, gdyż sprawozdanie z nich złożyłem na innym miejscu. Tu w krótkości nadmienię, że Smardzewice zamieszkuje ludność niskorosła o prostych blond włosach, białej skórze i jasnych zwykle zielonych oczach. Kształt głowy jest najczęściej krótki (73% wśród mężczyzn<sup>1)</sup> 76% u kobiet), twarz krótka, stosunkowo sze-

<sup>1)</sup> Stanisław Lenczewicz. Charakterystyka antropologiczna ludności Smardzewic. Sprawozdanie z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, t. IV, rok 1911, zeszyt 9, str. 143—197 i w oddzielnej odblite.



roka, nosy w głównej swej masie należą do kategorii średnich, o grzbiecie średnim, prawie prostym. Kształt nosa jest tam tak charakterystyczny, że już po zbadaniu kilku osobników mogłem odróżnić na oko ludność rdzenną od napływowej i mieszanej, ku wielkiemu zdziwieniu pytających mnie o swe pochodzenie włościan. Z profilu typowy taki nos, wykazuje grzbiet bardzo lekko falisty, prawie prosty; rozpatrując go en face i z góry widzimy, że jest on spiczasty, bez wydętych nozdrzy, a dolna część, w której mieszczą się otwory, posiada kształt trójkąta równobocznego.

Charakterystyczny dla Smardzewic typ, na który składa się w pierwszym rzędzie dopiero co opisany kształt nosa i jasne, najczęściej w zielonych odcieniach oczy, a następnie jednostajność niektórych wymiarów czaszki, zasiadł w samym środku wsi, w jedną i drugą jej stronę; bliżej końców charakterystyczne te cechy występują mniej intensywnie i rzadziej. Smardzewice ciągną się w kierunku zachodnio-wschodnim, prostopadłe do Pilicy, środek wsi zamieszkuje ludność tubylcza, późniejsi zaś przybyśże osiedlali się i osiedlają na jej krańcach. Nic więc dziwnego, że spostrzegamy tam nieco elementu odmiennego, wnoszonego najczęściej drogą małżeństw z kobietami wsi sąsiednich. Tak np. wśród mieszkańców zachodniego krańca Smardzewic więcej jest błękitnych oczu i jasnobłond włosów, co będzie zrozumiałe, gdy nadmienię, że o dwie wiorsty na zachód



fot. St. Lencewicz. TYPY WŁOŚCIANSKIE ZE SMARDZEWIC.

od Smardzewic leży wieś Swolszewice, mieszkańcy której posiadają przeważnie oczy błękitne i włosy jasno-blond.

D. N.

Stanisław Lencewicz.



## SZLAKIEM DO KAMIENCA. <sup>2)</sup>

Ale ta fatalna droga opłaca się prześlizcznym widokiem, roztaczającym się u naszych stóp; wszędzie niby gniazda przyczepione do skały białe chatki; dziwić się można jak ludzie potrafili założyć siedlisko tu nad brzegiem urwiska — na większym zakręcie pokazuje się naszym zdumionym oczom biała, smukła cerkiewka, niby orle gniazdo na wystającej tuż nad przepaścią skale. Za nią wytryskuje źródło, okalające ją dokoła, i spada w przepaść wielkim wodotryskiem, mieniającym się tysięcznymi barwami — istna arka przymierza górująca nad wodami; widok ten długo nam pozostanie w pamięci.

ci. Dojeżdżamy nareszcie u dołu ku małej Kuzelowej. Samym środkiem jaru płynie Uszyca, którą musimy przejeżdżać w bród, mimo że woda dostaje się do wnętrza powozu, a koryto rzeki dosyć szerokie — brzegi zaś tak strome, że z wielką obawą o całość naszego dyszla puszczamy się w tę przeprawę; wiele czyni ten co musi, więc uzbrojeni w zimną krew, zapuszczamy się w nurty i szczęśliwie dobijamy do przeciwległego brzegu; — widocznie czyniono tu zabiegi około budowy mostu i grobli, jednak tak nieudolnie, że nie mogły utrzymać naporu wiosennych wód i tylko sterczące w wodzie



pale każą się domyślać, że niegdyś most łączył oba brzegi. Jesteśmy w Małej Kurzelowej; ledwie widoczna ze szczytu góry, rorzuciona w istocie w okolo, zajmuje bardzo rozległą przestrzeń. Obie Kurzelowe, Mała i Wielka, należały do starostwa barskiego, później do tamecznego klasztoru jezuitów, po zniesieniu którego przeszły do Komisji edukacyjnej — następnie do Szydłowskich, obecnie własność Witerewskich, prowadzących proces z rządem o część skonfiskowaną po jezuitach. Ledwie ujechaliśmy cokolwiek po równinie, musimy znów się wspinać jakie 3 wiorsty po stromej i lichej drodze, by się dostać do Kurzelowej Wielkiej, położonej na samym wierzchołku Uszyckiego jaru. Wspinając się bardzo mozolnie, oglądamy się parę razy, by sfotografować roztaczającą się u stóp okolice, zawsze czarującą, choć z innej strony oglądany widok. Podanie niesie, że tamgdzie dziś Kurzelowa, stało miasto nazwane „Kurzel“, zniszczone przez wielkiego najezdę „Solodjewa Bujniakowa“; wyorywane stare monety, gliniane naczynia i ogromne cegły, podobne do tych, które nam w Kalusiku pokazywano, nasuwają myśl, że obie te osady w jednym czasie i pod jednym panowaniem, bodaj czy nie rzymskim, jako posterunki graniczne powstały; — o ile wiemy w 1433 r. nadana była Kurzelowa Matwiejowi Szlachwostowi, w XVI wieku zniszczona przez najazdy, za króla Zygmunta przeszła do Abrama Łoskowskiego pod warunkiem lenna do zamku barskiego i odbywania tam służby wojennej. Dotarliśmy do góry, dajemy chwilę odpoczynku srodze pomęczonym koniom, co daje nam sposobność bliżej przypatrzeć się formacji tych jarów; są to wszystko skały napływowe, pomiędzy którymi niżej spotyka się łupki; to samo spostrzegliśmy, zjeżdżając z góry Belmontu. W niewielkiej stąd odległości prawie tuż pod Kapuścianami, w Glebowie, są wielkie kopalnie fosforytów, które znów spotkamy na powrotnej drodze koło Zinkowa, gdzie łupki przeważa i leży wprost na powierzchni ziemi. Jeżeli już mówimy o formacji geologicznej, należy nadmienić o gatunku gleby miejsc, przez które jechaliśmy; przeważnie są one gliniaste z większą lub mniejszą domieszką marglu, prawdziwie pszenne; czarnoziemiu mało i to płytkiego z nieprzepuszczalnym gliniastem podglebiem, nie tak jak grunty Ukrainy lub Po-bereża.

Dawszy nieco spocząć koniom, podążyliśmy już zupełnie równą drogą do poblizkiego lasu. W cieniu uroczego gaju rozłożyliśmy nasz obozisk, konie dostały siana, my zaś przy doskonałych apetytach spałaszowaliśmy sporą

ilość wędlin i różnych smakołyków domowych. Odpocząwszy dobry kęs czasu, ruszamy dalej zwykłą drogą polną, aż nareszcie dobijamy do szosy wiodącej ku Kamieńcowi, parę lat temu wykończona; jazda tą szosą jest wprost czarująca: lasy, pola i gaje, uroczę doliny i rzeczki ciągną się nieprzerwanym szeregiem, tworząc całość zachwycającą. Rozkoszując się tymi widokami, toczymy się rażno ku Siworogom, inaczej Sciborom od przydomku Marchockich, do których należały niegdyś jako część dóbr minkowieckich; cała ta wieś osiedlona starą szlachtą o butnych postawach. Za niemi idą Iwankowce, gdzie w 1693 r. rozbił tatarów Jan Kazimierz dążący do Zbaraża na poskromienie buntu Chmielnickiego — należały one ongi jako dotacja do kościoła dunajowieckiego, i dlatego stała tam filialna kaplica, która w 1867 r. została zabraną na cerkiew; jedynie cudowny obraz Matki Boskiej ocalał od zagłady, wywieziony przez ówczesnego proboszcza za kordon.

Ale oto i Dunajowce; wszędzie wielkie łany pańskie, po lewej stronie należąca do Hołorubiniów, dalej Skibniewskich, po prawej do garczyńskiego majątku Zaleskich. Z dala już widoczne jest, że dojeżdżamy do zupełnie innego typu miasteczka, niż te zwykle, brudne podolsko-żydowskie osiadłości. Domy murowane, wysokie, porządnie otynkowane, nad nimi wysokie blaszane kominy strzelają ku niebu: jesteśmy w miasteczku fabrycznym, zupełnie cywilizowanym. Po obu stronach drogi wznoszą się różnej wielkości fabryki sukienne, przytykające do domów mieszkalnych, otoczone ogródkami, pełne kwiecia i zieleni; wszędzie nieodzowna altanka, spowita bluszczem, i piaskiem wysypane ścieżki; u zamożniejszych piękne różnobarwne róże, wspinające się na malowanych podporach, ubrane w różnokolorowe kule szklane. Wszędzie w całej pełni niemiecka czystość, ład i porządek. Mają też tu Niemcy swój kościół, klub, ochotniczą straż ogniową, sklepy spożywcze i galanteryjne i nieodzowną Bier-Halle czyli wedle nazwy tubylczej „bufet“. Fabryki tamtejsze zatrudniają około tysiąca robotników, wyrabiając na rok za milion rubli różnego sukna, sprzedawanego do Rumuni i Bułgarii. To też hodowla owiec w okolicach Dunajowiec kwitnie. Tutejsi Niemcy są to poddani pruscy, obowiązani do odbywania w Niemczech służby wojskowej; rok rocznie dąży tam spora liczba młodych ludzi i tym sposobem prusacy posiadają spory kontyngens ludzi, znających doskonale tutejszy kraj, nieocenionych w razie wojny. Teraz dopiero podnoszą się głosy przeciwników temu systemowi — czy coś pomogą, przy-



szłość pokaże. Tuż obok leżą żydowskie Dunajowce, tworzące olbrzymi kontrast swym brudem i niechlujstwem. Miasto oddalone z górą 60 wiorst od kolei nie może się należycie podnieść. Miejmy nadzieję, że mająca się budować kolej Podolska przyczyni się do szybkiego ich rozwoju. Jest tu parafialny kościół, obsługujący przeważnie okolice. Dunajowce różne przechodziły koleje, niszczone nieraz doszczętnie, potem pieczołowitością i zapobiegliwością królów wzrastające znów z popiołów. Pierwsze ślady o Dunajgradzie (tak się ongi nazywały) znamy z rejestrów koronnych gdzie w 1403 r. zapisany jest jako liczący 72 dymów, za które wznosił czynsz niejaki Ignacy „Ignati“ — w 1460 roku. Biskupi kamienieccy otrzymują prawo poboru dziesięciny, w 1530 r. wykazano tu dwa łany i dwa młyny. W XVI

wieku zastajemy tu Herburtów; 1577 roku żona Stanisława Lanckorońskiego, kasztelana halickiego, Elżbieta Herburtówna, po śmierci męża poległego w obronie ojczyzny — gdy kraj cały leżał w zgliszczach, otrzymuje od króla Zygmunta III przywilej na odbudowanie miasta, uposażonego w prawa magdeburskie, targi czwartkowe i jarmarki na Św. Jana Chrzciciela i Wszystkich Świętych. Wyszedszy powtórnie za mąż za Stanisławowskiego, zapisuje mu Dunajgród, Kalusik i Szaławę, ocenione na 50,000 złp. W ciągłych wojnach i zatargach opustoszały znów Dunajowce; potrzeba było nowego edyktu królewskiego, aby przeciągnąć osiedleńców, potwierdzając dawniej nadane prawa; dodaje król nowe dwa jarmarki na Św. Stanisław 8 maja i na Przemienienie Pańskie, zatwierdza pieczęć miejską „żurawia trzymającego w łapie kamień“.

C. D. N. *Gabryel Pruszyński.*



## GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

Być dziś — we współczesnym uporządkowanym, uprzemysłowionym, a nadewszystko zbanalizowanym świecie — miłośnikiem przeszłości i jej klejnotów-zabytków nie jest rzeczą łatwą, owocującą pięknym, i wdzięcznym owocem rzetelnego zadowolenia.

Życie ma swoje wymagania, swoje twarde i bezwzględne rozkazy, i raz stanąwszy na gruncie szczerze i szeroko pojętej demokratyzacji form jego, raz dobrowolnie zgodziwszy się na konieczność ułatwiania materialnych warunków bytu możliwie największej ilości ludzi, aż nadto często stajemy wobec nieuchronnej konieczności usuwania wszystkiego, co warunki te ogranicza, pogarsza. Burzymy stare dzielnice — duszne i ponure — przebijamy szerokie, matematycznie proste i beznadziejnie nudne arterie komunikacyjne, stawiamy na miejsce starych „ruder“ nieskończone szeregi koszar, widnych, suchych i — dobrze opłacających się. Sprzedajemy stare, nieraz bezcenne klejnoty, żeby za nie kupić jak najwięcej światła i powietrza, żeby ludziom dać jak najwięcej miejsca, gdzieby mogli swobodnie i zdrowo żyć i pracować.

To wszystko może być dla niektórych jednostek o specjalnej strukturze duszy smutne,

ale to jest konieczne i aż dotąd — to jest wszystko sprawiedliwe i słuszne. Tak dobrze dzieje się to u nas jak — na najdalszym, najbar dziej kulturalnym zachodzie. Ta sama, płytka ale nieustępliwa fala podmywa niejedną ostoję piękna czasów minionych u nas, co i gdzie indziej, nawet w niezaprzeczalnych stolicach świata, nawet w Rzymie, nawet w Paryżu.

Ale między tem, co się dzieje tam, na szczęśliwszym zachodzie, a tem, co się dzieje u nas, specjalnie u nas w Warszawie, zachodzą jednak różnice tak istotne, tak najgłębszego rdzenia sięgające, że twarde, niechronna konieczność zaczyna nabierać cech zwykłego bezmyślnego niszcycielstwa, jeżeli nie wręcz odrażającego chamstwa duchowego.

Tam, jeżeli się coś burzy i niszczy, to się całkiem współrzędnie daje za to nowe wartości; może mniej oryginalnie poczęte, ale mające pod pewnym kątem widzenia całkiem realną wartość. Goli się z powierzchni ziemi odwieczne, kręte, malownicze zaułki, ale się na ich miejscu wycina przepyszne perspektywy na jakieś gmachy, będące istotną ozdobą miasta; szeregi banalnych kamienic przerywa się monumentalnymi budowlami publicznymi, pięknymi parkami i pałaca-



mi. Rozlewa się naokół nieuniknioną szarżę współczesnego życia, ale się ją ubarwia i akcentuje czemś wedle możliwości mocnym, świeżym i jędrnym. Robi się jednym słowem robotę planową, uczciwie przedsięwziętą i rzetelnie wykonaną.

Ludzi, którzyby proponowali wyrzucenie za okno starego kontusza, żeby wzamian za to nabyć w prerwszorzędnym magazynie na Pocięjowie świetny garnitur współczesny, tam niema, boby ich wzięto na filutów, jeśli nie za półgłówków, których warto wsadzić do czubków.

Jest natomiast szczupła ale zwarta falanga znawców, która murem stanąć potrafi w obronie tego, czego niszczyć pod żadnym pozorem nie wolno; są zarządy miejskie, którełożą miliony na nabycie i uratowanie tego, co prywatne, nazbyt drapieżne ręce chcą zepsuć; są milionerzy, nawet nie koniecznie bezdzietni, którzy nie marzą o rozparcelowaniu starych parków i którzy je potrafią testamentem przekazywać swym obywatelom.

Może te porównania wydadzą się dla nazbyt daleko idącej odmienności tła zbyt egzotyczne. Może się nawet dla tysiąca ubocznych względów wydadzą zbyt bolesne. Aleć mamy inne, bliższe a odmiennie skale porównawcze, coś, co z jednego z nami pnia wyrosło, a jednak żyje życiem odmiennem. Mamy pod bokiem Kraków. Tam się też zapewne nie wszystko dzieje jak się dziać powinno, tam też do dziś dnia ludzie walczyć muszą z bezmyślną zgrają „burzymurków”. Ale przynajmniej walczą, przynajmniej niejedno już chętną i uczciwą ręką od zagłady ochronili. Padła baszta Kościuszki, padł oplakany krwawymi łzami Matejki kościółek św. Ducha, ale kiedy się niedawno zachciało komuś oczyścić Kraków od „ruder” przy koście św. Idziego, poszły ławą na na niego wszystkie kulturalne instytucje krakowskie, poszły nawet, nie czując dość mocnego gruntu pod nogami, do Wiednia, do ces. komisji archeologicznej, i sprawę wygrały, zaoszczędzając staremu grodowi królewskiemu jednego niepotrzebnego dnia wstydu.

U nas, ktoby chciał te zbędne dni wstydu rachować, straciłby, mniemam, rychło ich liczbę. A ktoby chciał twierdzić, że ogólna suma wartości estetycznych Warszawy nie podlega stalemu obniżeniu, broniliby sprawy z góry na przegraną skazanej.

Dziwna rzecz. Mówi się u nas tak łatwo i tak dużo o tem, że w Warszawie nic niema, że skoro nic niema, to niema czego żałować. Ale gdyby tak spróbować policzyć to, co padło w ostatnich, najostatniejszych już czasach,

gdyby te rozplywające się we mgle wspomnień cienie przeszły koło nas żalobnym zaiste korowodem — możeby łatwiej było przyjść do przeświadczenia, że było ich więcej, niżesmy ich umieli dostrzegać — i cenić. Żeby te słowa nie wydały się przesadą, spróbujmy je sprecyzować nieco, przypomnieć, co w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat bodajby odeszło od nas — przez nas samych wygnane.

Przybrał się w nowe, bardziej współczesne szaty „z zachowaniem zresztą właściwości stylowych”, jak na jawne kpiny mówiono, pałac biskupów krakowskich. Spróbujcie sobie wyobrazić jego ostatniego odnowiciela, głośnego bp. Kajetana Soltyka, w bardzo współczesnym tużurku, mocno zresztą do chałata podobnym. Tuż obok idzie pod nóż stary pałac Tepperowski, nie arcydzieło zapewne, ale stokroć więcej jeszcze smaku i wyrazu mający od tak gwałtownie w Warszawie potrzebnego „pasażu”, który jego miejsce ma zająć. Przy ul. Długiej jedno skrzydło pałacu Potkańskich przerobiono już na kamienicę w stylu bardzo wschodniego odrodzenia. Idzie precz pałac Karasia, widocznie, żeby się Kopernik i poważna, piękna fasada świętokrzyskiego kościoła bardziej czuły swojsko, u siebie. Teraz ma się poćwiartować pałac Bryłowski. Tylko, że się tego skończonego dzieła sztuki żadną miarą nie da ochrzcić mianem bezwartościowej rudery, więc się wytacza największe działo użyteczności publicznej i konieczności rozszerzenia głównej arteryi ruchu.

I jeżeli wolno sądzić z dotychczasowej praktyki, z przykładów smutnej a nieodległej przeszłości, nikt i nic go już uratować nie zdoła. Padnie, jak padło cacko — pałacyk Biełlińskich, jak padły wdzięczne Koszyki królewskie, jak padły toporem od zdrowego pnia odrąbane, setki innych zabytków, których dziś już — bezpowrotnie zgubionych — próżno żałować.

Bo jak dotąd przynajmniej wszystko idzie drogą u nas w Warszawie utartą. Kiedy się tu chce popełnić jakiś tego rodzaju wandalizm w najbardziej współczesnym warszawskim stylu, nie forsuje się sprawy odrazu, ostrzeliwa się raczej pozycyę zdaleka, ostrożnie i cierpliwie. Argumenty takich projektodawców słycać jak świdrowanie toczącego stary mebel robaka — latami.

Po raz pierwszy wypłynął na powierzchnię projekt przebudowy pałacu Bryłowskiego już przed laty kilkunastu. Jego ojcem duchowym był, jak się zdaje, jeden z głośnych naszych swojskich Hausmanów, twórca pięknych uliczek z końcami utopionymi w ciasnym i ciemnym podwórku, wspaniałych teatrów, na któreby da-



wny spichrz splunął z pogardą i t. d. Dla tych czy innych względów projekt został odrzucony, co nie przeszkodziło mu z odpowiadającą wadze sprawy bezczelnością powrócić na stół po raz drugi i trzeci.

Teraz, jak od paru miesięcy czytamy w piśmiech codziennych, nietylko powrócił, ale jest na jak najlepszej drodze do szybkiego urzeczywistnienia. Już się parę razy zbierały magistrackie komisje, niezadługo zbierać ma się komisja „obywatelska“, potem przyjdą rzeczoznawcy i podziela między siebie robotę. Jedni przedstawią plany rozszerzenia ulicy, inni pomyslą o przystosowaniu architektury gmachu do „współczesnych wymagań z zachowaniem dawnego stylu“, inni znów wytłomaczą to gruntownie, pięknie i nawet ciepło szerszej publiczności, jeszcze inni wreszcie obmyślą, ileby tytułem rekompensaty za zburzenie oficyn można urwać łokci Saskiego ogrodu, którego niepojęty ogrom w obfitującej w parki i ogrody Warszawie nie przestaje różnych poprawiać czy drażnić oddawna.

I stanie się. Rozszerzy się ulicę, która i tak w pewnych godzinach okaże się zbyt wązka, dopełni się egzekucji na kilkudziesięciu drzewach i w ogniskowym punkcie miasta na miejscu dzieła o formach wykwintnych i skończonych postawi się kalekę o powyłamywanych członkach. Do wieńca chwały naszych swojskich domorosłych Hausmanów przybędzie nowy liść — duży, bardzo duży.

Mógłby ktoś powiedzieć, że te wszystkie goryczą przepojone uwagi są co najmniej zbędne. Że ani prasa ani społeczeństwo nie są właścicielami zabytku, że ich głosy i ręce nie są dość władne, by sprawę na inne pchnąć tory.

Otóż nie.

Albo my jesteśmy społeczeństwem, świadomem jeśli nie swoich praw, to swoich pragnień przynajmniej, albo jesteśmy bezkształtną masą, zbiorowiskiem żołądków, pragnących spokojnie trawić, i rąk, chcących tylko bić oklaski w stawianych przez warszawskich spekulantów budach operetkowych. Jeśli my tam nie gospodarujemy, jeśli nas się o zdanie nie pytają, to tem niemniej nietylko wolno, ale należy krzyczeć, kiedy nas boli, i cieszyć się, kiedy boleć przestaje. Co najmniej tyle.

Próżnem byłoby dowodzić, że tu niema komu w Warszawie brać na siebie obrony. Są tu przecie towarzystwa i organizacje, stworzone dla popierania i rozwoju sztuki, dla opieko-

wania się zabytkami przeszłości, są specjalne koła i sekcje zawodowców-architektów.

Nie wiem, czy ci ludzie wyobrażają sobie, że ich dalsza praca będzie możliwa w mieście — w kraju — ogołoconych ze wszystkiego, co jest pięknem, co jest szczerem, mocnym, indywidualnem wypowiedzeniem się ludzi i czasów dawno zmarłych, ale przecie z nami tyśiącami węzłów związanych. Że można będzie marzyć o nawiązywaniu nici tradycji kulturalnej, skoro dziś już w niektórych dzielnicach miasta i niektórych częściach kraju pozostały nie nici, ale słaba przędza pajęczna, do której ciężko będzie ciężki i gruby powróż dzisiejszych wymagań życia nawiązać.

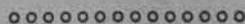
To jedno jest pewnem natomiast, że nad sam fakt zagłady zabytku cięższą, okropniejszą być może ta bezwzględna apatya, z jaką się podobne rzeczy przyjmuje. Jest rzeczą aż nazbyt znaną, że Warszawę współczesną stawiamy nie my, że ją budują przeważnie obce ręce, obce kapitały. Że mamy bardzo zdolnych budowniczych, ale większość gmachów stawiają jakieś ciemne anonimowe siły. Że z jednej strony te obce siły i obca energia kpi sobie wręcz z naszych dążeń i ideałów, a z drugiej w bezpośrednim wyniku tego wyrasta jak grzyb brzydki i szkodliwy nowa Warszawa, rozpaczliwie szpetna, nudna i bezplanowa.

I dzieje się tak nietylko dlatego, że nam jakoby brak kapitałów, rąk do pracy i energii do czynu (to ostatnie tylko chyba prawdziwe), ale że nam brak nawet chęci do protestu przeciwko wyzuwaniu nas z tego, co jest naszym dorobkiem, w czem myśmy się tu już od siedmiu z górą stuleci osiedli i okrzepli.

Czas, najwyższy czas zerwać z tą strusią, chowającą łeb w krzaki taktiką. Czas powiedzieć spokojnie ale stanowczo rozmaitym niepowołanym przerabiaczom miasta — wara! Instytucjom i ludziom, bezpośrednio do obrony tych spraw powołanym, czas też już wystąpić z rzeczową, ściśle umotywowaną krytyką barbarzyńskich projektów, wyczerpać wszelkie środki, wszelkie argumenty, apelować, jeśli się tu sprawę przegra, dalej, dojsć do kresu możliwości i do najdalszych granic obowiązku.

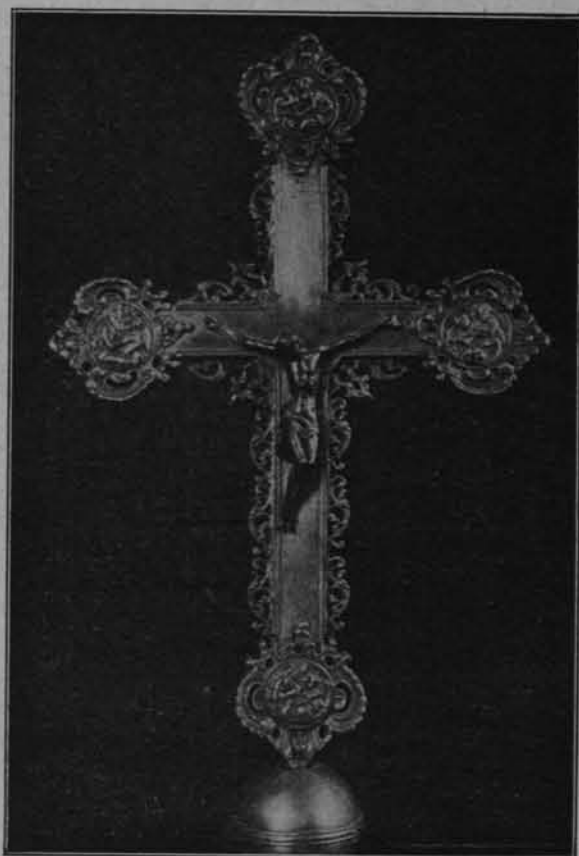
Bo jeśli się tych najpierwszych, najpierwotniejszych zadań gospodarza we własnym domu nie spełni, można w nim być co najwyżej lokatorem, marzącym o spokojnem trawieniu i niezbyt wysokiem komornem.

*Boruta.*





## ZABYTKI POLSKIE.



KRZYŻ SREBRNY PROCESYJNY Z KOŃCY XVII W.  
W KOŚCIELE SW. PIOTRA I PAWŁA W WILNIE.

fol. W. Zahorski.



MONSTRANCYA SREBRNA Z XVIII W.  
W KOŚCIELE SW. PIOTRA I PAWŁA W WILNIE.

(patrz „Ziemia“ 1911 r. № 48).

## Listy do Redakcyi.

W numerze 28 „Ziemi“ w pracy p. S. Matusiaka „Wiano i posąg“ autor wspomina o „saju“ i „sagataju“, materiałach używanych w Kieleckiem i Lubelskiem, a nie robi wzmianki o samodzielnym mazowieckim „sagatysie“. Dla dopełnienia zatem przesyłam niniejsze objaśnienie.

Sagatys jest to wyrób gruby lniany, tkany w domu z przędzy niewarowej (t. zw. postaw) i farbowanej na granatowo (t. zw. wątek); stąd materiał wychodzi szary i używany jest specjalnie na letnie spodnie. Wyrób ten był dawniej rozpowszechniony w okolicach Mławy, Przasnysza, Ciechanowa, (a może i dalej), dziś z upadkiem tkactwa ludowego w tych okolicach spotyka się tylko u drobnych rolników; służba folwarczna lnu nie sieje, więc i wyrobów samodzielnymi nie używa, ale nazwa „sagatysu“ jest ogólnie znana.

Jadwiga Milewska.

oooooooooooo

## Przebieg pogody w miesiącu czerwcu 1912 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.

Na początku ubiegłego czerwca panowały w Królestwie bardzo umiarkowane temperatury, które stopniowo podnosiły się i dosięgły największej wysokości do 32° C. w cieniu w dniu 8 czerwca. Mniej więcej od połowy miesiąca nastąpiło znaczne ochłodzenie, przyczem w dniach 18 i 19 czerwca termometr spadł nad ranem do 3° i niżej. Okres zimny trwał do 25 czerwca. Bardzo charakterystyczne zjawisko to obserwuje się nader często koło połowy czerwca i zowie się w meteorologii czerwcowym powrotem zimna. Pod koniec miesiąca zapanowała piękna, ciepła i sucha pogoda.

Temperatury średnie wahały się koło 17°,6 C. i były bliskie normalnych.

Trwanie usłonecznienia wykazuje spory niedobór: w Warszawie słońce świeciło 229 godzin czyli o 21 g. mniej niż zwykle w czerwcu.

Pomimo bardziej pochmurnego nieba opady nie były ani częste, ani obfite. Przeciętne wartości wyniosły 58 mm. w 12 dniach i są o kilkanaście pro-



cent mniejsze od normalnych. Tu i owdzie spadły grad.

W ciągu całego miesiąca nad morzem Północnym i Bałtykiem przeciągały na wschód minima barometryczne. Jedno z nich około środka miesiąca wyróżniało się głębokością i rozległością. Dopiero pod koniec miesiąca Europa środkowa znalazła się w dziedzinie wysokiego ciśnienia i panujące przedtem wiatry zachodnie ustąpiły miejsca bardzo ciepłym i suchym prądom południowo-wschodnim.

Niżej zamieszczone są dane ze stacyi P. T. Kr.  
a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia mies. 18°, 1. Temp. maks. + 28°, 7 dnia 8-go. Temp. minim. + 5°, 7 dnia 19-go.

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 17°, 5. Temp. maks. + 28°, 7 dnia 7-go. Temp. minim. + 5°, 1 dnia 18-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Suchedniów (p. kielecki)	44	10
Bieliny	30	11
Św. Krzyż	18	11
Nowa Słupia	15	10
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	76	11
Wysokie (p. krasnostawski)	31	12

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 273 godz.

oooooooo

Podjęta przez klub myśl opracowania przewodnika po Galicyi oraz wydawania kart z widokami Tatr i Beskidu na razie jeszcze nie mogła być urzeczywistniona dzięki dziwnej obojętności interesowanych w tej sprawie czynników. Niemniej świadczy ona dodatnio o zrozumieniu potrzeb budzącego się ruchu turystycznego i życzyliby sobie należało, aby zamiary swe Klub rychło w czyn zamienił.

Rozesłane właśnie sprawozdanie za szósty rok istnienia Klubu wydane jest nie mniej starannie od zeszłorocznego. Poza oficjalną częścią zawiera kilka opisów odbytych wycieczek, ilustrowanych udatnymi reprodukcjami zdjęć fotograficznych, niepowседневną zaś wartość nadaje mu pod względem informacyjno-turystycznym wprost znakomicie przez d-ra Orłowicza opracowany „Przewodnik po Alpach rodniańskich“.

Przewodniczącym Towarzystwa na odbytem w dniu 19 kwietnia dorocznem walnem zgromadzeniu obrany został ponownie p. Józef Szenk.

Na bieżący sezon, który rozpoczęto wycieczką do skał w Bubniszczach, zapowiada Klub cały szereg wycieczek, z których na szczególniejszą uwagę zasługują: wycieczka do Sztokholmu, na Krym i Kaukaz, do Tyrolu i Szwajcaryi, do Anglii, Szkocyi i Irlandyi, w Gorgany zachodnie, w Karpaty marmaroskie, Alpy rodniańskie, Kelimeńskie i Transylwańskie i wiele innych.

H. F.

## Ze stowarzyszeń.

*Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie.*

Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność wspominać w „Ziemi“ o „Akademickim Klubie Turystycznym“, towarzystwie cieszącem się dziś popularnością nie tylko w sferach akademickich lecz i pośród szerszej publiczności, podnosząc rzetelne jego zasługi, jakie zdobył sobie przez rozbudzenie wśród młodzieży zamiłowania do turystyki i zainteresowania krajoznawstwem. Obok organizowania dalekich wycieczek zagranicę nie zaniedbuje bowiem Klub turystyki krajowej, a urządzając liczne wycieczki w różne okolice kraju, ułatwia przedewszystkiem młodzieży poznanie ziemi ojczystej.

Ubiegły, szósty rok istnienia, jak się z przedłożonego Walnemu zgromadzeniu sprawozdania dowiadujemy, nie był dla klubu pomyślny. Zmniejszyła się liczba nrządzonych wycieczek, pogorszył się też stan finansowy. Przyczyną osłabienia ruchliwości Klubu było bezwątpienia ustąpienie niezrównanego organizatora wycieczek, założyciela i prezesa towarzystwa, d-ra M. Orłowicza, a w części także niezycielive stanowisko ministerstwa kolejowego, konsekwentnie odmawiającego członkom klubu przyznania stałych zniżek turystycznych. Pogorszenie zaś stanu finansowego tłomaczą większe na ogół wydatki, a przedewszystkiem koszt ufundowania tablicy pamiątkowej dla „króla przewodników tatrzańskich“ Klimka Bachledy.



## Nowe książki.

*Rocznik przemyski, wyd. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemysku za 1909—1911 r.*

Cenną placówkę kulturalną polską stworzyło grono dzielnych ludzi w Przemysku, otwierając tam Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Liczy ono zaledwie dwa lata istnienia, spis członków obejmuje 137 nazwisk, obrot finansowy dosięgnął 3849 koron, ale dzięki poświęceniu założycieli i energii Zarządu dorobek młodego towarzystwa wcale jest pokaźny. „Miłość przeszłości, jej dziejów, jej zabytków powołała do życia Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysku“. To też założono tu muzeum, którego brak dotkliwie dawał się odczuć, wystąpiono z gorącym protestem do rady miasta, aby nie wdzierżawiano na restaurację starych murów przemyskiego zamku, wmurowano w ścianę katedry spiżową tablicę grunwaldzką, zajęto się uporządkowaniem archiwum miejskiego, zorganizowano kilka odczytów i wydano pierwszy rocznik.

Rocznik ma charakter przeważnie sprawozdawczy, mieści jednak obok tego kilka prac poważniejszych, jak np.: Jana Smolki „Powstanie Wielkopolski przeciw szwedom w latach 1655—1657“, ks.



dr. Mamidłowskiego „Przeszłość — przyszłości“, ciekawy memoriał Towarzystwa do prześwietnej Rady miasta Przemyśla i inne. Dobre ilustracje, wśród których wyróżniają się: amulet z X wieku, emblematy cechowe z 1654 r., widoki baszt zamku przemyskiego i tablicy grunwaldzkiej ożywiają rocznik, a karta tytułowa (Tchórznicki) pomysłana jest zupełnie artystycznie.

Gorąco życzyć należy młodemu Towarzystwu dalszego rozwoju, a jego inicjatorom, braciom Kazimierzowi i Tadeuszowi Osifskim, dalszej energii do prowadzenia tak dobrze rozpoczętego dzieła.

*Aljan.*

*Przewodnik po Morawach dla polskich podróżników, napisał D-r Franciszek Veseły. „Świat słowiański“. Rocznik VIII. Tom I. Czerwiec 1912.*

W samą porę, gdyż właśnie w okresie wyjazdów letnich i wycieczek, przynosi „Świat Słowiański“ w zeszytu czerwcowym pracę d-ra Franciszka Vesełego pod powyższym tytułem.

Słusznie podnosi autor na wstępie, że szukając wrażeń na południu i zachodzie, obojętnie dotąd pomijaliśmy pobratymcze Morawy, jak gdyby one nic godnego uwagi nie przedstawiały. A przecież oprócz prawdziwych cudów przyrody nie mało tu zabytków historycznych i kulturalnych, godna bliższego poznania ludność, trzymająca się dotąd odwiecznych zwyczajów i malowniczego stroju.

W krótkim tym, niejako szkicowanym tylko przewodniku na „dwutygodniową wycieczkę okrężną“—jak objaśnia autor—przechodzi on, od Morawskiej Ostrawy zaczynając, wszystkie piękniejsze i godniejsze uwagi miejscowości, a więc zdrojowiska Rožnov i Téplice, największe morawskie ruiny zamku Helfsztyń, malowniczy Buchlow, przemysłowe Berne, zamek Perusztyn, Sloup z ciekawymi grotami stalaktytowymi, pięknie rozwijającą się miejscowość kąpielową Luhaczowice i t. d.

Dopelnieniem treściwego przewodnika są liczne w zeszytu rozrzucone ilustracje.

Praca D-ra Vesełego zajmie niewątpliwie nie-

jednego z czytelników i zachęci do zwiedzenia pobratymczej dziedziny, a wzajemne poznanie najsukcesyjnej przyczyni się do zadzierżgnięcia ściślejszych węzłów czesko-polskich.

*W. F.*



## Kronika krajoznawcza.

+ „Dziennik Kijowski“ donosi, że w związku z projektowaniem połączeniem morza Czarnego z Bałtykiem za pomocą drogi wodnej Ryga—Chersoń, kijowski okręg komunikacji opracował projekt robót w celu udostępnienia porohów dniewprowskich za pomocą szeregu grobli przecinających całą szerokość rzeki. Grobli takich będzie 4—Sursko-Łochańska, Nienasytiecka, Federowska i Weselna przy porohach tejże nazwy. Groble te mają na celu podniesienia poziomu wody w rzece, co da możliwość urządzenia u brzegów kanałów szluzowanych dla statków i tratw. Jednocześnie w tem samym miejscu staną urządzenia hydro-elektryczne w celu zużytkowania siły wodnej i wytworzenia energii elektrycznej, której siła według obliczeń projektu przewyższać będzie 100 tys. koni parowych.

Druga część projektu dotyczy ekonomicznej strony przedsięwzięcia, przyczem starano się możliwie ściśle obliczyć spodziewane powiększenie ruchu towarowego. Między innymi przyszły przewóz Dnieprem ładunków drzewnych projekt oblicza na blisko 128 mil. pudów, przewóz ładunków zbożowych z obecnych 50 mil. pudów ma się powiększyć do 80, a nawet do 100 mil., cukru około 20 mil. pud., nafty 115 mil. pud., soli 10—15 mil. pud. Ruch osobowy (obecnie około 15 tys. osób) powinien również znacznie się zwiększyć.

Ogólny koszt budowy grobli i szluz wyniesie 31 mil. rb. Czysty dochód, jaki dać mają te urządzenia, oblicza projekt na 5 milionów rubli.

---

**TREŚĆ:** *S. Matusiak* — Wiano i posąg (dok.) *M. Federowski* — Zbiory graticzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem (c. d.). *Stanisław Lencewicz* — Z badań fizyograficznych nad Pilicą (z 3 ryc.). *Gabryel Prószyński* — Szlakiem do Kamieńca (c. d.). *Boruta* — Gawędy krajoznawcze — Listy do Redakcji. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Poręba „Wylisie“ Galicya Wschodnia. Krzyż i monstrancya w kościele Św. Piotra i Pawła w Wilnie.

---

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

---

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.